

Amanda Kelly chciała być doskonałą. Próbowwała kontrolować całe swoje życie. Zatraciła się w obsesyjnym dążeniu do perfekcji oraz poczuciu własnej bezwartościowości. I tylko jedną rzecz uznawała za doskonałą – więź, która łączyła ją z najlepszym przyjacielem, Noahem.

W życiu bohaterki wszystko odbywało się zgodnie z planem, aż do momentu, kiedy pewnego dnia wstała z łóżka i coś sobie uświadomiła. Kochała Noaha. Nie tylko jako przyjaciela.

Nie potrafiła kontrolować uczuć, które w niej wywoływał. Mógł obdarzyć ją dozgonnym szczęściem, ale przy tym mógł także ją zniszczyć. Był doskonałością, jakiej Amanda od zawsze pragnęła. A jednak nie pozwalała, by był jej.

I w tym właśnie momencie świat Amandy zaczyna się rozpadać. Przykre momenty przejmują nad nią kontrolę; zmuszają, by zrezygnowała z marzeń. Bohaterka musi się nauczyć, że człowiek nie jest w stanie kontrolować sytuacji, które napotyka na swojej drodze. Może jednak kontrolować, jak na nie zareaguje. Czy zdoła to zrozumieć nim będzie za późno? Czy da radę uratować swoją przyjaźń? „Present Perfect” to historia o tym, w jaki sposób wydarzenia z przeszłości wpływają na teraźniejszość. Pokazuje, jak doskonałe mogłoby być nasze „teraz”, gdybyśmy płynęli z prądem życia, zamiast nieustannie z nim walczyć.

Tytuł oryginału
Present Perfect
Copyright © 2014 by Alison G. Bailey
All rights reserved.
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Dorota Lachowicz
Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Robin Harper
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-569-5

ALISON G. BAILEY

**PRESENT
PERFECT**

OŚWIĘCIM 2018



DEDYKACJA

*Mojej mamie Helen oraz pamięci mojego taty
Drehera. Dziękuję, że daliście mi siłę, nadzieję
i zawsze potrafiliście mnie rozśmieszyć.*



PODZIĘKOWANIA

Chociaż pisząc „Present Perfect” siedziałam przy komputerze sama, ta książka nie jest projektem solowym. Pomogło mi wielu cudownych ludzi, bez których moja opowieść nigdy by nie powstała.

Jefie Bailey: zawsze mogłam znaleźć w Tobie oparcie. Byłeś cierpliwy, kiedy ja wariowałam z powodu zagubionych notatek i nadmiaru wątpliwości. Zastępowałeś moje oczy, gdy byłam zmęczona i pomagałeś mi spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Nawet nie wiesz, jak strasznie to doceniam.

Busterze, Jacku: jakże mogłabym nie podziękować moim dwóm milczącym współautorom – psiom? Tak, dobrze czytacie, dziękuję moim psom. Przesiadywały przy mnie dzień i noc, słuchając, jak mówię do siebie, śmieję się, płaczę i przeklinam. Jedyne dwa odgłosy mogły wypędzić je do drugiego pokoju: grzmoty piorunów oraz moje wiązanki soczystych przekleństw.

Kelley Forsberg, siostrzyczko: dziękuję za Twoją miłość, wsparcie i słowa zachęty, nie tylko w czasie pracy nad książką, ale w całym życiu. Łączy nas wyjątkowa więź. Gdyby nie Ty, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

Korektorzy: Wasza pasja i poświęcenie są zachwycające. Dzięki Wam stałam się lepszą pisarką.

Beth Hyams (dla mnie na zawsze pozostaniesz Beth Anne; z „e” na końcu, pamiętam): byłaś ze mną przez całe życie; zarówno w tych dobrych i złych chwilach, jak i tych absurdalnych. Bardzo cenię naszą przyjaźń oraz to, że nadal przy mnie jesteś. Kocham Cię.

Stacy Bailey Darnell (Księżniczko): mogłabym napisać jeszcze tysiąc książek i w każdej z nich Ci dziękować, a to i tak byłoby o wiele za mało. Jestem wdzięczna za Twoje wskazówki, poczucie humoru oraz przyjaźń. Uwielbiam tę książkę nie tylko dlatego, że ją napisałam, ale ponieważ podczas pracy nad nią miałam okazję poznać Cię lepiej. Kocham Cię, K.!

Liso Harley (HS): to Twoja wina. Zainspirowałaś mnie, prowadziłaś i serwowałaś porządne kopniaki w tyłek aż stworzyłam idealnego bohatera. Masz moją dozgonną wdzięczność, miłość i ogromny szacunek.

Kristino Amit: ile wiadomości wysłałyśmy do siebie? Miliard? Dzięki Twoim komentarzom przemyślałam i poprawiłam wiele kwestii. Mam nadzieję, że już Ci się podoba sposób, w jakim Noah nosi swoją czapkę.

Ano Zaun: powinnaś nauczać w szkole dla niezależnych autorów! Bardzo Ci dziękuję za pomoc przy samodzielnym wydaniu książki. Jesteś jak mój pan (to znaczy... pani) Miyagi!

Kim Shackelford (Księżno): moja rodaczko z Karoliny Południowej! Uwielbiam dostawać od Ciebie wiadomości. Przepraszam, że doprowadziłam Cię do łez. Avery będzie miała fantastyczną mamę.

Jamie Zishko: byłaś pierwszą osobą, która wyraziła opinię o „Present Perfect”. Zanim otworzyłam e-maila, byłam zarówno podekscytowana, jak i przerażona, ale Twoja odpowiedź ogromnie mnie wzruszyła.

Nicki DeStasi: dzięki Twoim pełnym entuzjazmu wiadomościom chciało mi się śmiać, bo gdyby tylko mogły, słowa skakałyby w nich z podekscytowania. Nie masz pojęcia, ile razy czytałam je w chwilach, kiedy potrzebowałam pocieszenia.

Susan Miskelly: dzięki Tobie zaczęłam patrzeć na rzeczy z innej perspektywy. To było niesłychanie pomocne.

Mario DeSouza z *Editing Divas*: jesteś jedną z najmilszych i najszczerzejszych osób na świecie. Już podczas pierwszej rozmowy czułam, jakbyśmy byli starymi przyjaciółkami. Po Twojej korekcie ta książka stała się o niebo lepsza.

Robinie Harperze z *Wicked by Design*: kocham tę okładkę. Chociaż nie wiedziałam, czego chcę, wiedziałam dokładnie, czego nie chcę, a Tobie udało się odczytać moje myśli i stworzyć idealną grafikę. Dziękuję za Twoją cierpliwość oraz cały wysiłek, który włożyłeś w swoją pracę.

Angelo McLaurin z *Fictional Formats*: cieszę się, że nie wystąpiłaś do sądu o zakaz zbliżania. Nie mam w zwyczaju śledzić ludzi, ale chciałam, by moja książka była sformatowana najlepiej jak to możliwe, a Ty nie masz sobie równych! Twoja praca jest niesamowita.

Moje smerfetki: Beth Hyams, Stacy Bailey Darnell, Liso Harley, Kristino Amit, Jamie Zishko, Nicki DeStasi, Kim Shackelford, Daisy Esquenazi, Sandro Cortez, Americo Matthews, Alexis Durbin, Stephanie Loftin, Dawn Costiero, Jennifer Diaz, Jennifer Mirabelli, Christine Mateo, Leslie Cox, Marilyn Medino, Melanie Smith, Tabito Willbanks, Tino Bell, Tamron Davis – jesteście najlepsze! Strasznie Wam dziękuję za pomoc w promowaniu „Present Perfect”!

Grupa *The Writer’s Block*: jestem wdzięczna za cenne wskazówki oraz słowa zachęty, dzięki którym osiągnęłam swój cel.

Grupa Kindle Buddies: jesteście pierwszą grupą, do której dołączyłam na Facebooku. Przez Was poznałam wielu wspaniałych przyjaciół, a także ogromną ilość znakomych książek i autorów, którzy swymi dziełami wzbogacili moje życie. Dziękuję Crysti Perry za założenie grupy i wzięcie nas wszystkich pod swoją wspaniałą opiekę.

Blogerzy: mogę Wam przekazać jedynie ogromne DZIĘKUJĘ. Na początku nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie spędzają tyle czasu na swoich blogach, zwłaszcza że nikt im za to nie płaci, ale kiedy poznałam tę społeczność, w końcu to pojęłam. Podziwiam Waszą miłość do literatury, a także oddanie, zaangażowanie i pasję. Dziękuję, że pomagacie autorom, zwłaszcza tym niezależnym, oraz za cały czas i wysiłek, jaki w to wkładacie.

Czytelnicy: dziękuję! Czuję się zaszczycona, że zechcecie sięgnąć po „Present Perfect”. Moim zdaniem, dobra książka powinna sprawić, by czytelnik coś poczuł, skłonić go do refleksji i spojrzenia na pewne sprawy inaczej. Mam nadzieję, że czytając „Present Perfect” właśnie tego doświadczycie. Miłej lektury!

PROLOG

*Skoro nie ma rzeczy doskonałych,
to dlaczego istnieje słowo „doskonały”?*



– Amando, weź przykład z Emily. Bądź grzeczna i siedź spokojnie.

– Amando, Emily pomoże ci zrobić zadanie domowe. Jest najlepszą uczennicą w szkole.

– Wow, Emily to twoja siostra? *Ona* jest piękna!

– Amando, kiedy będziesz miała takie duże piersi jak Emily?

Kocham Emily. Naprawdę. Zawsze była cudowną starszą siostrą. Czasami nawet pozwalała mi spędzać czas ze swoimi przyjaciółmi. A kilka razy wzięła na siebie winę za coś, co zrobiłam źle. Jest nie tylko piękna, ale i dobra. To nie jej wina, że pierwsza przyszła na świat i we wszystkim mnie prześcignęła. Nie prosiła się, by zostać tą doskonałą. Chciałabym być tak idealna jak ona. Tylko jakoś mi to nie wychodzi.

Nieważne. Bycie w cieniu perfekcyjnej Emily nie jest wcale takie złe. Moja siostra ma wspaniałe życie, ale ja mam coś, czego jej brakuje: Noaha Stewarta.

Noah od zawsze był moim najlepszym przyjacielem, współnikiem, obrońcą, bratnią duszą i ukochanym. Jest dla

mnie wszystkim. Może i nie mam wyglądu, inteligencji ani talentu Emily, ale mam Noaha, chodzącą doskonałość. Nie zamieniłabym go za nic na świecie.

WPIS 1

Zawsze go kochałam. Od dnia, kiedy przyszłam na świat. Nie kwestionowałam tego, nie miałam wątpliwości. Moja miłość przybierała różne formy, ale ani na chwilę nie zniknęła.

Specjaliści do spraw sercowych radzą jak zdobyć miłość, utrzymać, albo przeboleć jej stratę. Skłaniają nas do myślenia, że jest skomplikowana. Nieprawda. To ta cała otoczka, którą do niej dołączamy, czyni ją zawilgłą. Jeśli masz głowę na karku, zrozumiesz to zanim będzie za późno i przestaniesz utrudniać sobie życie.

AMANDA STEWART

NOAH STEWART

NOAH I AMANDA STEWART



Urodziłam się 23 marca 1990 roku o godzinie 22.57 w Szpitalu Świętego Franciszka, w mieście Charleston, w Karolinie Południowej. On przyszedł na świat 23 marca 1990 roku o godzinie 22.58 w sali tuż obok. Poza tą minutą, która dzieli nasze narodziny, ja i Noah zawsze byliśmy razem. I wszystko robiliśmy wspólnie: ząbkowaliśmy, śmialiśmy się, wypowiadaliśmy pierwsze słowa. Nawet zaczęliśmy raczkować w tym samym czasie i razem stawialiśmy pierwsze kroki.

Kiedy mama Noaha wróciła do pracy, moja, będąca gospodynią domową, zaproponowała, że może się nim zająć. Uważała, że opieka nad dwójką dzieci jest równie prosta jak nad jednym. Zazwyczaj to nieprawda. Dwoje maluchów to dwa razy więcej pieluch i karmień, podwójny krzyk i ból głowy. Ale nie w naszym przypadku. Dopóki Noah i ja byliśmy razem, nic więcej nie było nam potrzebne do szczęścia.

Uzupełnialiśmy się nawzajem. Mama mówiła, że stworzyliśmy nawet własny język, tak jak często robią to bliźniaki. Dla niewtajemniczonych nasze gaworzenie brzmiało jak zwykły dziecięcy bełkot, ale my rozumieliśmy się doskonale. Noah wiedział o mnie wszystko. Znał moje myśli, nastroje i uczucia. Tak jak i ja znałam jego.

HALLOWEEN 1996

Chociaż miałam dopiero sześć lat, wiedziałam, że będę w tym wyglądać okropnie. Rodzice moich koleżanek chętnie korzystali z udogodnień proponowanych przez nowoczesną Amerykę, takich jak chociażby kostiumy na Halloween sprzedawane w sklepach. Ale nie moja mama, o nie. Ona zdecydowała, że najlepiej będzie, jeśli sama zrobi dla nas stroje. Wiem, kogo mogę winić za jej chwilową utratę poczytalności – Marthę Stewart¹, bez dwóch zdań. Mama nigdy nie miała w sobie krzty zręczności czy artystycznego zacięcia.

Emily chciała być księżniczką. Od piątego roku życia uczęszczała na zajęcia baletu, więc wszystkie elementy potrzebne do stworzenia kostiumu były akurat pod ręką.

¹ Martha Stewart – amerykańska bizneswoman, osobowość telewizyjna, autorka i wydawca magazynu. Znana jest jako kreatorka stylu życia oraz prowadzenia domu.

Mama skleiła ze sobą kilka jej starych, jasnoróżowych tutu i zrobiła z nich dół sukienki. Doczepiła go do jaskraworóżowego body, spryskała materiał klejem i rzuciła trochę brokatu. Swoją kreację zakończyła tiarą z folii spożywczej ze szklanymi kulkami imitującymi królewskie klejnoty. Kostium Emily nie wyglądał źle. Jeśli przykleisz na coś wystarczająco dużo brokatu, ludzie będą tak oślepieni, że nawet nie zauważą kryjącej się pod nim brzydoty.

Ja natomiast chciałam być kowbojką. To chyba najprostszy kostium na świecie. Potrzebowałam jedynie pary dżinsów, koszuli w kratę, kamizelki, kowbojskich butów, kapelusza i tadam, mamy kowbojkę! Żadnego kleju ani brokatu. Miałam wszystko, czego było mi potrzeba, poza najważniejszym.

Zobaczyłam go w supermarkecie. Był uszyty z czerwonego filcu, z rondem obszytym białą nitką i słowem *Kowbojka* na przedzie. Nigdy nie widziałam równie pięknego kapelusza. Serce zaczęło mi szybciej bić!

Wzięłam to cudo w małe rączki i cała w skowronkach podbiegłam do mamy.

– Mamo, mamo, zobacz! Czy to nie najwspanialszy kowbojski kapelusz, jaki kiedykolwiek widziałas?

– Jest bardzo ładny, Amando. A teraz odłóż go tam, gdzie wisiał. Zakupy same się nie zrobią – odpowiedziała, popychając wózek wzdłuż alejki.

Mój uśmiech natychmiast zniknął. Ruszyłam za nią biegiem, przyciskając kapelusz do piersi.

– Ale mamo! Ja go potrzebuję!

– Do czego, kotku?

– Umm... do stroju na Halloween – odparłam, uśmiechając się głupio i przewracając oczami.

– Amando, rozmawialiśmy już na ten temat. W tym roku ja szyję twój kostium.

Przewracałam oczami, wlokąc się za mamą, ale ona nie zwracała na mnie większej uwagi. Szła wzdłuż wypełnionych produktami półek, skupiona wyłącznie na zakupach.

– Chcę być kowbojką! To najprostszy kostium, jaki można zrobić. Mam już wszystko poza kapeluszem. Mamo, muszę mieć ten kapelusz! – błagałam.

Spojrzała na mnie przez ramię i zapytała:

– Dlaczego w ogóle chciałybyś być kowbojką?

– Bo kowbojki są super! – odpowiedziałam.

Jakby to nie była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Noah będzie super rycerzem, a ja chcę być super kowbojką! I będę nią, ale musisz mi kupić ten kapelusz. Proszę, mamo!

Zatrzymała się w końcu i przykucnęła. Nareszcie byliśmy na tym samym poziomie.

– Kochanie, zobaczysz, że *będziesz* miała najlepsze przebranie ze wszystkich dzieci.

– Czyli mogę wziąć ten kapelusz? – Na moją twarz powoli powracał szeroki uśmiech. Z niecierpliwością czekałam aż mama powie „tak”, ale...

– Nie. Zgadnij, za co *będziesz* przebrana na Halloween?

– Jej niebieskoszare oczy błyszczały z podekscytowania. Wstała i zaczęła przeszukiwać wózek z zakupami. Chwilę później wyjęła z niego największy worek z jaskrawożółtymi, ptasimi piórami jaki w życiu widziałam. Zaniemówiłam. Patrzyłam na nią ze zdziwioną miną, oczekując wyjaśnień. – *Będziesz* kanarkiem Tweetym! Super, co?

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Nie chcę być kanarkiem Tweetym! Chcę być czadową kowbojką! Dlaczego nie mogę być kowbojką? – jęczałam.

– Bo mam już wszystkie rzeczy, których potrzebuję do zrobienia przebrania Tweety’ego – odparła, wrzucając torbę piór z powrotem do koszyka.

– No, to może je odłożymy i kupimy ten super kapelusz?

– Amando, w tym roku będziesz przebrana za Tweety’ego. Koniec dyskusji. Dlaczego nie możesz być taka jak twoja siostra? Z nią nigdy nie ma żadnych problemów. Skoro tak bardzo chcesz, przebierzesz się za kowbojkę w przyszłym roku. A teraz odłóż ten kapelusz na miejsce.

Więc poszłam, włócząc nogami, z opuszczonymi ramionami i wzrokiem wbitym w podłogę. Pokonana. Odwiesiłam kowbojski kapelusz, zrzędząc pod nosem.

– Nie chcę być głupim Tweetyem. Chcę być kowbojką. To mój kostium!

– Amando, pośpiesz się! Idziemy do kasy!

Mama dostała takiej obsesji na punkcie kostiumu Tweety’ego, że zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy może od zawsze widziała we mnie żółtą kreaturę z ogromną głową, puszystymi policzkami i ustami ułożonymi w dzióbek?



Stałam na środku salonu, ubrana w obcisłe, bladożółte body założone na krótkie spodenki i koszulkę. Mama pojawiła się chwilę później, niosąc mnóstwo materiałów, które z ulgą zrzuciła na podłogę tuż obok moich stóp.

– No to zaczynamy! – powiedziała, z entuzjazmem zacieśniając ręce. Nie rozumiałam, jak można być tak podekscytowanym z powodu kostiumu jakiegoś głupiego ptaka.

Kiedy układała przed sobą wszystkie przyniesione rzeczy, zaczęła mi brakować powietrza.

– Mamo? – odezwałam się.

– Hmm...?

– To body jest za ciasne. Nie mogę oddychać! – wyduśiłam, próbując złapać haust powietrza. Czułam się jak w worku próżniowym.

– Musi dobrze przylegać, Amando. Inaczej materiał rozciągnąłby się pod ciężarem piór i cały strój by obwisnął. Nie chcesz przecież być obwisłym Tweetym, prawda?

– Nie chcę być żadnym Tweetym – marudziłam.

– Dość już tego. Nie rozumiem, dlaczego przy tobie wszystko musi być takie skomplikowane? Twoja siostra jakoś nie narzeka na swój strój.

– Tak, bo ona będzie księżniczką, tak jak chciała!

– Zaczynajmy.

Mama wyciągnęła z torby jeszcze kilka przedmiotów. Następnie podeszła do ściany i podłączyła do gniazdka pistolet do kleju. Gdy się odwróciła, celowała nim prosto we mnie.

Uniosłam wysoko brwi. Oczy niemal wyszły mi z orbit. Po mojej szyi zaczął ściekać zimny pot.

– Mamo, nie strzelisz we mnie gorącym klejem, prawda? – spytałam drżącym głosem. – Obiecuję już nigdy, przynigdy nie powiedzieć ani jednego złego słowa o Tweetym!

– Och, Amando, nie dramatyzuj tak. Przecież nie zamierzam wylewać na ciebie kleju. Poprosiłam, żebyś założyła to body, bo muszę zaznaczyć, w których miejscach trzeba przykleić pióra.

Wzięła do ręki rolkę taśmy klejącej i zaczęła odrywać z niej małe kawałki. Zwijała je w rulony, po czym przyklejała do mojego ubrania, jeden przy drugim. Następnie otworzyła worek jaskrawożółtych piór. Doczepiała je do stroju z takim entuzjazmem, że kilka razy prawie mnie przy tym przewróciła.

Kiedy skończyła, pomogła mi wydostać się z tej żółtej, przenośnej komnaty tortur. Obserwowałam jak zrywa kolejne rzędy przyczepionych taśmą piór i chwilę później przykleja je na nowo, tym razem gorącym klejem. W końcu jednak westchnęłam głęboko, odwróciłam się na pięcie i poszłam do swojego pokoju. Nie mogłam już dłużej na to patrzeć.



Był halloweenowy poranek. Kiedy weszłam do salonu, mama stała zgięta w pół i zbierała z podłogi pióra, które przez noc odpadły z kostiumu. Robiła to codziennie, więc nie traciłam nadziei. Jeśli nie będzie piór, nie będzie też kostiumu – myślałam. Może moje sny o byciu kowbojką miały jednak szansę się spełnić?

Odchrząknęłam głośno, mówiąc.

– Mamo, nie obrazisz się, jeśli nie ubiorę kostiumu Tweety’ego do szkoły? Nie chciałam go zepsuć przed wieczorem, kiedy pójdę w nim zbierać słodycze.

Odłożyła naręczę sztucznych piór na ławę i wyprostowała się. Nadal nie chciała przyznać, że Tweety linieje. Wahała się przez chwilę, masując dłonią kark, po czym zrezygnowana spojrzała na kupkę piór.

– Jasne. Przy okazji będę miała czas jeszcze go dopracować. To może pójdziesz do szkoły jako kowbojka? Wspominałaś coś o tym, że chciałaś być kowbojką?

Och, tylko milion razy...



Kiedy wieczorem przyszedł czas, by założyć kostiumy i ruszyć po słodycze, mama zdążyła już dokleić z powrotem wszystkie nieszczęsne pióra. Mój kowbojski sen zamienił się w kanarkowy koszmar.

Kompletowałyśmy strój. Na nogach miałam stare, fu-trzane kapcie pomalowane sprayem na złoty kolor. Ponieważ zostało nam jeszcze trochę piór, mama postanowiła, że Tweety koniecznie potrzebuje opaski na głowę. Później przyniosła też całkiem spory słoik neonowo żółtej farбки do twarzy, która wyglądała jak jakiś produkt do makijażu z lat osiemdziesiątych, kiedy to najwyraźniej dzieci można było bezkarnie obsmarowywać toksynami. Jakby upokorzeń było jeszcze mało, na koniec mama obsypała mnie brokatem. Miałam go dosłownie wszędzie; na głowie, ramionach, klatce piersiowej. Wyglądałam jak skrzyżowanie Wielkiego Ptaka z Ulicy Sezamkowej i tego showmana, Liberace'a².

Staralam się wyjść z domu jak najpóźniej, czekając aż zajdzie słońce. W tym stroju jedynie ciemność mogła być moim sprzymierzeńcem. To była przyjemna, ciepła noc. Taka, że nie trzeba było zakładać kurtki. Osobiście chętnie dostałabym nawet gorączki z przegrzania, byle tylko zakryć to żółte, tonące w brokacie coś. Mama nie chciała jednak o tym słyszeć.

Zawsze chodziłam zbierać słodycze razem z Emily. Do jej zadań należało trzymanie mnie za rękę, dzwonienie do drzwi i wołanie „cukierek albo psikus!”. Do moich? Do stanie cukierków. Tamtego roku Emily miała już jednak aż dziesięć lat i chciała pójść ze swoimi przyjaciółmi. Poprosiła mamę, która w tamtej chwili wykazała się (przynajmniej moim skromnym zdaniem) absolutnym brakiem

² Liberace – ekscentryczny artysta estradowy i pianista. Znany przede wszystkim z ekstrawaganckich kostiumów oraz wystawnej oprawy swoich występów.

rodzicielskiej odpowiedzialności i tak po prostu jej na to pozwoliła. Pozwoliła jej iść samej, zamiast zostać ze mną i kontynuować naszą świętą, rodzinną tradycję! Jak mogła nie pomyśleć o mnie?! Czyżby nie rozumiała, że bez Emily byłam skazana na ogromny deficyt słodkości?!

Stałyśmy na podjeździe przed domem państwa Dean. Głośno przełknęłam ślinę, obserwując jak siostra odchodzi z przyjaciółmi.

Mama musiała wyczuć mój strach, bo przytuliła mnie do swego boku.

– Dasz sobie radę, Amando. Jesteś już dużą dziewczynką. Nie ma się czego bać. Emily miała zaledwie pięć lat, kiedy zaczęła chodzić sama do drzwi sąsiadów. Zaczekam na ciebie tutaj. Nigdzie się nie ruszam. – Puściła moją dłoń i zrobiła krok w tył.

Stałam tam sparaliżowana strachem. Porzucona i zła. Przerazała mnie myśl, że za drzwiami sąsiadów może czekać się prawdziwy potwór. Jasne, nigdy wcześniej nie widziałam na naszym osiedlu potwora, ale przecież zawsze musi być ten pierwszy raz, prawda?

Nie potrafiłam oderwać od ziemi pokrytych futrem stóp. Moje policzki płonęły, a żołądek skręcał się z bólu i strachu. Oczy zaczynały piec od napływających do nich łez. Chociaż... to akurat mógł być efekt toksycznej farbki na twarzy.

Wzięłam kilka głębokich oddechów, po czym spojrzałam w dół. Próbowałam znaleźć w sobie odwagę, kiedy nagle coś zauważyłam. U moich stóp leżała kupka jaskrawych piór. Spojrzałam za siebie, na ulicę przed moim domem. Wałało się po niej tyle pierza, że wyglądała jak żółta, ceglana droga z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Nie potrafiłam w to uwierzyć. Jak na ironię w moją stronę właśnie

zmierzała Andrea Morgan, przebrana za Dorotkę. Zabrała nawet swojego małego psa.

Popatrzyłam na mamę, a potem na drzwi Deanów i znów na mamę.

– No dalej, Amando. Nie bądź dzieckiem – ponaglała.

Po twarzy zaczęły ściekać mi łzy. Musiałam podjąć decyzję. Nie mogłam grać na zwłokę. Miałam wybór: albo podejść do tych drzwi i zbiorę cukierki, albo dalej będę się guzdrać aż wszystkie pióra odpadną i zostanę oskubanym kanarkiem Tweetym.

Z domu państwa Dean wychodzili właśnie moi koledzy z torbami wypełnionymi po brzegi samymi pysznościami. Pysznościami, które mogłam zdobyć tylko w jeden sposób: ruszając się z miejsca.

Nagle zobaczyłam jego; mojego rycerza w plastikowej zbroi. Spod hełmu widać było tylko jasnoniebieskie oczy i kilka kosmyków ciemnobrązowych włosów.

Szedł wzdłuż podjazdu, całkiem sam. W jego torbie podskakiwały słodkości.

Pierwsze, co zrobił, to otarł moje łzy rękawem koszulki.

– Nie płacz – poprosił.

– Nie dostanę dzisiaj żadnych cukierków! Pióra mi odpadają i za chwilę będę stała goła na środku ulicy! – Płakałam tak mocno, że drżał mi głos. Moje słowa przypominały czkawkę. Oboje popatrzyliśmy na drogę. – Widzisz te wszystkie pióra?

– Otwórz swoją torbę. – Noah nabrał do rąk tyle słodkości, ile zdołał.

– Nie, nie możesz dać mi wszystkich swoich słodyczy!

– Nie dam ci wszystkich. Dam ci połowę. – Gdy zobaczyłam na jego twarzy uśmiech, wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

Chwilę później złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę domu Stevensonów. Od razu mu się wyrwałam.

– Co ty wyprawiasz?!

– Idę z tobą zbierać cukierki. Udowodnię ci, że to nic strasznego – odparł.

Jego spojrzenie było pełne spokoju. Podałam mu rękę i pozwoliłam zaprowadzić się przed drzwi sąsiadów.

Noah nacisnął dzwonek. Moje serce biło szybko, a dłonie były całe spocone. Otworzyła nam pani Stevenson, przebrana za wielkiego, grubego kota. Wyglądała przezabawnie. Noah puścił moją rękę, żebym mogła otworzyć torebkę, przy czym dyskretnie wytarł dłoń o swój kostium. By uczcić moją odwagę, sąsiadka dała nam aż po *dwa* jabłkowe lizaki.

Mama szła za nami, uśmiechając się do siebie. Odwiedziliśmy jeszcze kilka domów. Kiedy ramię w ramię przemierzaliśmy ostatni podjazd, moja torba była wypełniona cukierkami. Na chodniku dałam mu buziaka w policzek.

– Dziękuję, Noah.

Uśmiechnął się.

– Zawsze będę o ciebie dbał. O ciebie i o to, żeby nie zabrakło ci słodczy, Tweet.

To wtedy nadał mi przezwisko, które miało przyłgnąć do mnie na całe życie. I chociaż nienawidziłam kostiumu kanarka Tweety’ego, nie miałam nic przeciwko temu, by mnie tak nazywał. Szczerze mówiąc, nawet mi się to spodobało.

WPIS 2

Nieprzewidywalność życia jest do bani. W jednej chwili latasz wśród chmur, czujesz jak wiatr rozwiewa ci włosy, a w następnej lądujesz na dupie, z gębą pełną żwiru.



Od zawsze uwielbiałam jeździć na rowerze. Odkąd po raz pierwszy usiadłam na małym, czerwonym trójkołowcu, wiedziałam, że jestem do tego stworzona. Swój „duży” rower dostałam na ósme urodziny. Uwielbiałam go, był najlepszy na całym świecie. Większość dziewczynek miała różowe rowerki, ale ja nie – ja miałam żółty. W tamtym okresie przeszła mi już trauma po paradowaniu w kostiumie Tweety’ego i żółty stał się moim nowym ulubionym kolorem. *No cóż.*

Ten rower był wyjątkowy. Przy jego kierownicy wisiały brokatowe frędzle; białe, żółte i srebrne. Miał też biało-żółty, wiklinowy koszyk oraz długie, białe siodełko wykończone srebrnymi odbłaskami, które świeciły, kiedy padało na nie słońce. Na szprychach przedniego koła doczepione były białe i srebrne koraliki, a na tylnym znajdował się taki specjalny gadżet, dzięki któremu rower warczał jak motocykl. Tak, na swoim żółto-srebrnym pozeraczu szos byłam naprawdę kimś.



To było dwa tygodnie po tym, jak odkręciłam boczne kółka. Codziennie razem z Noahem nie mogliśmy się doczekać aż wrócimy po szkole do domu. Chcieliśmy jak najszybciej odrobić lekcje i wsiąść na rowery. Mogłam jeździć jedynie do domu Porterów i z powrotem, ale Noah mógł krążyć po całym naszym osiedlu.

Od roku jeździł na czerwono-czarnym BMX-ie. Szło mu naprawdę świetnie. Potrafił unieść przednie koło, tylne, zrobić bunny hopa, prowadzić jedną ręką, a nawet przeskoczyć nad kilkoma kubłami na śmieci. Noah był super. Ja nie byłam super – to chyba jasne, skoro miałam osiem lat, a boczne kółka zdjęłam dopiero dwa tygodnie wcześniej.

Na początku jazda do domu Porterów i z powrotem była satysfakcjonująca, ale szybko zapragnęłam czegoś więcej. Potrzeba, by ruszyć w świat, zżerała mnie od środka. Codziennie błagałam więc mamę, żeby pozwoliła mi pojechać ulicę dalej, do domu Noaha. Za każdym razem mówiła „nie”.

Noaha musiało męczyć to ciągle jeżdżenie w kółko po krótkim kawałku ulicy, do którego byłam uwiązana. Choć nie narzekał, ja wiedziałam swoje. Potrafiłam czytać w jego myślach.

– Tweet, przestań się tym zamartwiać. Serio. Przecież tu też mogę ćwiczyć swoje triki. A twoja mama na pewno niedługo pozwoli ci wyjechać poza osiedle. Jesteś coraz lepsza.

Niedługo, ale to i tak za długo. Ten głód należało natychmiast zaspokoić.

Podjechałam bliżej niego i przybrałam konspiracyjny ton głosu.

– Zróbmy to.

– Zróbmy co? – spytał zdziwiony.

– Weźmy nasze maleństwa na przejażdżkę. Jedźmy do twojego domu!

– To chyba nie jest najlepszy pomysł. Twoja mama będzie wściekła. Narobimy sobie kłopotów.

– Ona nigdy się nie dowie. Pojedziemy tylko raz i zaraz wrócimy. Prooszę, Noah. Powiedziałeś, że coraz lepiej jeżdżę!

Przez chwilę unikał mojego spojrzenia, ale w końcu mi uległ.

– Pojedziemy pod mój dom i ani centymetr dalej.

Kiwałam głową z ekscytacją, zgadzając się na wszystko.

– I tylko ten jeden raz. Mówię serio, Tweet. Musisz obiecać.

– Obiecuję! – odpowiedziałam z ręką na sercu.

Sprawdziliśmy więc, czy moja mama nie wygląda przez okno i ruszyliśmy. Było dokładnie tak samo jak zwykle, aż do chwili, gdy minęliśmy dom Porterów. Nagle ogarnęła mnie ekstaza. Jechałam dalej! Naprawdę!

Serce biło mi jak szalone. W moich żyłach płynęła czysta adrenalina. Noah jechał przodem upewniając się, że droga jest wolna. Skręciliśmy za róg. Wiatr rozwiewał moje włosy. Było cudownie. Leciałam wśród chmur.

Kiedy zwolnił, szybko go dogoniłam. Zawołał:

– Świetnie ci idzie, Tweet! Już prawie jesteśmy na miejscu!

A potem znowu przyspieszył. Czułam się taka szczęśliwa, że Noah jest ze mnie dumny. To było najlepsze uczucie na świecie. Ale wtedy coś poszło nie tak.

Nie mam pojęcia, co zrobiłam źle, ale kierownica nagle zaczęła się trząść. Straciłam panowanie nad rowerem. W ułamku sekundy wyładowałam twarzą w żwirze. Nogami wciąż obejmowałam ramę. Noah musiał zauważyć, że już za nim nie jadę, bo usłyszałam, jak krzyczy.

– Tweet!

Natychmiast zawrócił i podjechał do mnie, w pośpiechu zeskakując z roweru, który z hukiem uderzył o asfalt. Moje dłonie piekły jak diabli, a po lewej nodze ciekła krew.

Głos Noaha był przepęlniony paniką.

– Trzymaj się, Tweet! Jestem przy tobie. Możesz się ruszać?

Delikatnie odsunął rower spomiędzy moich splątanych nóg i przeniósł go na bok. Następnie ukląkł przy mnie i pomógł mi usiąść. Przez cały czas nie przestawałam płakać. Miałam wrażenie, że moje dłonie płoną żywym ogniem. Noah dmuchał na nie, ale to tylko trochę pomagało. Mój lewy policzek był czerwony i strasznie piekł. Drobnny żwir wbił się w skórę, a on próbował zetrzeć go swoją koszulką. Najgorzej było jednak z kolanem. Widziałam mięso i lejącą się litrami krew; z boku wisiał cienki płat zdartej skóry. Wpadłam w jeszcze większą histerię. Noah otoczył ramionami moje drżące ciało.

– Tak mi przykro, Tweet. Powinienem być jechać obok ciebie. Zaopiekuję się tobą, obiecuję. Dasz radę chodzić?

Podniósł mnie, ale gdy tylko stanęłam na lewej stopie, poczułam przeraźliwy ból. Nie mogłam utrzymać się na nogach.

Przez spazmy płaczu trudno było cokolwiek powiedzieć.

– Nie, nie dam rady! Za bardzo boli.

Musieliśmy zejść z jezdni. Noah podtrzymał mnie mocno i razem pokuśtykaliśmy przed dom sąsiadów. Usiadłam na trawie.

– Poczekasz tutaj? Pobiegnę po twoją mamę.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Nie, nie, nie, nie możemy powiedzieć mamie! Proszę. Zabierze mi rower i da szlaban do końca życia! – Z nerwów wstrzymywałam oddech.

Nagle poczułam jak Noah wsuwa rękę pod moje zgięte kolana i unosi mnie delikatnie z ziemi.

– Złap mnie za szyję – rozkazał, więc to zrobiłam.

Oparłam głowę na jego ramieniu.

– Nie jestem dla ciebie za ciężka? – zapytałam. Wciąż byłam od niego niższa, ale przez ostatni rok urosłam dobrych kilka centymetrów.

– Jesteś leciutka jak piórko – zapewnił rozbawiony.

– Gdzie idziemy?

– Do mnie. Trzeba opatrzyć rany.

Na szczęście rodzice Noaha pracowali w ogródku za domem, więc udało nam się zakraść do jego pokoju, nie zwracając na siebie uwagi. Posadził mnie ostrożnie na łóżku i wyszedł, żeby poszukać apteczki.

Czekając, wyobrażałam sobie, jaką karę wymyśli mama, kiedy dowie się, co zaszło. Wizję nieuniknionej zagłady szybko przerwał mi jednak odgłos otwieranych drzwi. Noah zamknął je za sobą cichutko i usiadł obok. Popatrzył na rozbite kolano. W jego oczach również błyszczały łzy. Przysunął się bliżej i mnie przytulił. Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę.

– Dziękuję, Noah – wyszeptałam.

– Za co? – Jego oddech poruszał kosmykami moich włosów.

– Za pomoc. I troskę.

Otarł łzy, po czym zaczął przemywać zakrwawiony policzek chusteczką antybakteryjną. Skrzywiłam się, gdy do-

tknął nią otwartą ranę. Noah również. Wykrzywił twarz jak gdyby cierpiał razem ze mną.

– Obiecuję, że już nigdy nic ci się nie stanie, Tweet.

Posłałam mu smutny uśmiech, gdy przemywał moje zdarte ręce i kolano. Robił to najdelikatniej jak potrafił. Uważnie, by nie zadać mi więcej bólu.

Kiedy skończył, otarcia wyglądały całkiem nieźle. Dłonie i twarz przestały piec i nie były już aż tak czerwone. Gorzej z kolanem. Noah nałożył na nie maść antyseptyczną i zakleił ranę dużym plastrem. Następnie poszedł odłożyć apteczkę na miejsce. I zniknął. Czekałam i czekałam, a on nie wracał. Miałam wrażenie, że nie ma go całe wieki. W końcu jednak drzwi znów się otworzyły, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Gdzieś ty był?! Wyszedłeś jakąś godzinę temu!

Pokręcił głową, uśmiechając się ironicznie.

– Bzdura. Nie było mnie góra dwadzieścia minut. Zabrałem z drogi nasze rowery. A potem poszedłem do kuchni, żeby przynieść ci to. – Podał mi talerzyk, na którym leżał wielki kawałek czekoladowego ciastka oraz mały widelec. – No i wpadłem na mamę. Chciała wiedzieć, co robię.

– Co jej powiedziałaś? – zapytałam, z buzią pełną lukru.

– Że przyszłaś. Zapytała, czy zostaniesz na kolację. Tata robi grilla. Będą hamburgery!

– Muszę zadzwonić do mamy i zapytać, czy mogę – odpowiedziałam, znów bliska płaczu. Byłam przekonana, że mama domyśli się wszystkiego, kiedy tylko usłyszy mój głos.

– Nie musisz. Rodzice to załatwią.

Odetchnęłam po raz drugi, bo właśnie zyskałam na czasie. Miałam nadzieję, że zanim wrócę do domu, zaczerwienienie z rąk i twarzy zniknie, a kolano przestanie tak bardzo piec.

Noah nie odrywał wzroku od ciasta, więc wyciągnęłam do niego widelec.

– Chcesz trochę?

– Nieee, potrzebujesz tego bardziej niż ja.

To mnie nie przekonało. Podsunęłam talerzyk bliżej.

– No weź – nalegałam.

Nabrał trochę ciasta, po czym oddał mi widelec. Przekazywaliśmy go sobie z rąk do rąk, aż na talerzu nie został ani okruszek.

Noah położył się na łożku, zakładając ręce za głowę.

– Już ci lepiej? – zapytał.

– Dużo lepiej.

– To super. Tak myślałem, że to pomoże.

– Co?

– Ciasto czekoladowe.

– Tak? A jak to pomaga? – spytałam z ciekawością.

– Nie wiedziałaś? Ciasto uśmierza ból. Dzięki niemu ludzie czują się lepiej.

WPIS 3

*Wszystko może się zmienić,
gdy spojrzysz na kogoś oczami drugiej osoby.*



Nadszedł koniec sezonu baseballowego i właśnie odbywał się ostatni mecz. Noah był gwiazdą drużyny z naszego miasta, Tygrysów, dla której tamtego dnia grał po raz ostatni. Kilka miesięcy później zaczynaliśmy naukę w liceum, a ponieważ był jednym z najlepszych graczy, nikt nie miał wątpliwości, że załapie się do reprezentacji szkoły.

O baseballu nie wiedziałam praktycznie nic. Chodziłam na mecze odkąd pamiętam, więc wydawałoby się, że powinnam była przyswoić jakąkolwiek wiedzę z samego oglądania gry... ale gdzie tam. Nie miałam zacięcia do sportu. Za to Emily? Wręcz przeciwnie. Grała od dziecka w koszykówkę, a w pierwszej klasie liceum zaczęła trenować bieganie. Zdobywała nagrody w obydwu dziedzinach. A to ci niespodzianka, co? No cóż, ja bywałam na meczach wyłącznie po to, by dopingować swojego najlepszego przyjaciela.

Noah zaczął grać w T-ball¹ w wieku czterech lat i niemal od razu zakochał się w baseballu. Uwielbiałam spędzać sobotnie

¹ T-ball – gra drużynowa będąca uproszczoną wersją baseballu i softballu. Przeznaczona jest dla dzieci, zazwyczaj w wieku od 4 do 8 lat.

popołudnia, oglądając go na boisku. Z kijem w ręku był taki podekscytowany. Naprawdę opłacało się obejrzeć kompletnie niezrozumiały mecz, żeby zobaczyć jego radość.

Tego dnia postanowiłam zabrać ze sobą potencjalną przyjaciółkę – Beth Sanders. Jej rodzina wprowadziła się obok nas mniej więcej trzy tygodnie wcześniej. Nie wiedziałam, czy zostaniemy przyjaciółkami. Traktowałam naszą znajomość jako „okres próbny”. Dogadywałyśmy się wówczas całkiem nieźle, ale jeszcze nie zapoznałam jej z Noahem.

Beth miała egzotyczną urodę: brązową opaleniznę, długie, kruczoczarne włosy i szmaragdowozielone oczy. Jej twarz, w przeciwieństwie do mojej, odznaczała się bardzo ostrymi rysami; wyraźnie zarysowanym nosem, kośćmi policzkowymi oraz szczęką. Ja miałam buzię okrągłą jak księżyc i puciołowate policzki. Beth była ode mnie szczuplejsza i wyższa, z nogami aż po samą szyję. Była miła i fajnie spędzałyśmy czas. Wprawdzie trochę za bardzo szalała za chłopakami, ale raczej nie kandydowała do tytułu Królowej Zdzir.

– Wow, to miasto jest niesamowite! Tylu tu gorących facetów! Żyć nie umierać! – mówiła, gdy wspinałyśmy się po trybunach obładowane przekąskami. – Och, co to za koleś?

Odwróciłam twarz w stronę boiska.

– Który?

– Ten pałkarz. Stewart.

– Och. To mój Noah.

– *Twój* Noah? Myślałam, że masz tylko starszą siostrę. A na nazwisko Kelly?

– Nie brat, tylko mój najlepszy przyjaciel.

– Twój najlepszy przyjaciel? – powtórzyła, wykrzywiając twarz. – Chłopak nie może być twoim przyjacielem!

– Dlaczego nie?

– Bo to nienaturalne. Dziwne. – Zaciśnęła usta w wąską linię.

Nie rozumiałam, jak moja przyjaźń z Noahem mogła wydawać się komuś dziwna czy nienaturalna. Dla mnie to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Beth nie przestawała jednak biadolić.

– No, a jak już musisz się przyjaźnić z facetem, to na pewno nie z takim, który *tak* wygląda.

– *Jak* wygląda? O co ci chodzi?

– Nie mów mi, że nie zauważyłaś, jaki jest zabójczo przystojny?

– Nigdy o tym nie myślałam...

Prychnęła pod nosem z irytacją.

– Ta, jasne. Uważaj, bo ci uwierzę! – Na chwilę zapanowała pomiędzy nami niezręczna cisza. – Czekał, jesteś lesbijką?

– Nie!

– Pytam, bo tylko lesbijka mogłaby nie zwracać uwagi na to seksowne ciało.

– Wiesz, nie jestem pewna, czy mamy szansę zostać przyjaciółkami – odparłam z kamienną twarzą.

Uśmiechnęła się.

– Och, daj spokój. Ten gość jest szalenie przystojny!

– Zaczynam myśleć, że to *ty* jesteś szalona.

– A jego ciało... idealny trójkąt, widzisz? Szerokie ramiona, wąska talia, tyłek nie z tej ziemi...

– A może to *ty* jesteś nie z tej ziemi. – Każde jej kolejne słowo irytowało mnie coraz mocniej.

– A te umięśnione ręce? I nogi?! Och! – Tylko czekałam aż zacznie jęczeć z podniecenia.

Uniosłam dłoń, mając nadzieję w ten sposób powstrzymać jej słowną biegunkę.

– Skąd go znasz? – spytała niemal na bezdechu.

– Dorastaliśmy razem. Nie było dnia, żebyśmy się nie widzieli. Nasze rodziny jeździły nawet razem na wakacje...

– Gdzie mieszka? – Beth stawiała się coraz bardziej i bardziej ciekawska.

Spojrzałam na nią spod byka, nie odpowiadając.

– Mieszka na naszym osiedlu?

Cisza.

– O! Mój! Boże! On naprawdę tam mieszka! Dlaczego nas sobie nie przedstawiłaś?! Nie możesz go przede mną ukrywać! *Musisz* nas ze sobą zapoznać, słyszysz?!

Mówiła tak szybko, że ledwo mogłam za nią nadążyć. Była podekscytowana i to zdecydowanie za bardzo. Miałam ochotę walnąć ją w łeb. Może wzięłaby trochę na wstrzymanie.

– *Jaaasne*, na sto procent niedługo ci go przedstawię – odpowiedziałam sarkastycznie, przewracając przy tym oczami. Znałyśmy się zbyt krótko, bym mogła ją oceniać, ale przez głowę przeszła mi myśl, że ta dziewczyna potrzebowała leczenia.

– Amanda, no weź! Muszę wiedzieć, czy z przodu wygląda tak samo niesamowicie jak z tyłu!

Zirytowana, bez słowa pokręciłam głową.

Przez resztę meczu Beth rozpyływała się nie tylko nad Noahem, ale nad każdym graczem, którego uznała za seksownego. W skrócie – praktycznie nad całą drużyną. Wpadł jej w oko nawet stary trener Sawyer, a gość miał na karku ponad czterdziestkę.

Gra powoli dobiegała końca. Był remis i wszystko zależało od Noaha. Musiał wybić piłkę i zaliczyć wszystkie bazy, by zdobyć punkt, a wtedy Tygrysy po raz pierwszy w historii zdobyłyby mistrzostwo miejskiej ligi.

Kibice oczekiwali w milczeniu. Miotacz poczekał kilka sekund, po czym rzucił prostą, szybką piłkę. Odgłos jej zderzenia z kijem był tak głośny, że wydawało się, jak gdyby ktoś właśnie wystrzelił z armaty. Noah upuścił kij i zaczął biec. Nigdy wcześniej nie widziałam, aby pędził z taką szybkością. Minał pierwszą bazę, drugą, trzecią i ślizgiem zdobył domową. Gdy sędzia krzyknął: „PUNKT!”, publika oszalała. Wszyscy krzyczeli i skakali. Mój Noah właśnie został legendą, prowadząc Tygrysy do ich pierwszego zwycięstwa.

Podbiegła do niego cała drużyna. Podnieśli go na swoich ramionach i krzyczeli: „STE-WART! STE-WART! STE-WART!”, odwracając go w stronę podekscytowanego tłumu.

Beth głośno westchnęła.

– O tak. Z przodu jest równie przystojny, jak z tyłu.

Nawet nie miałam ochoty tego komentować.

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze, gdy publiczność dołączyła do skandowania. Noah spoglądał na trybuny, wypatrując mnie. Oboje mieliśmy na twarzach szerokie uśmiechy. Zdjął z głowy czapkę i pomachał nią w moją stronę. Na całym boisku dla mnie liczył się jedynie on, za to Noah wyglądał, jak gdyby nie widział wśród kibiców nikogo poza mną. Poczułam dziwne ciepło. Faktycznie, nie wyglądał źle.

Przede wszystkim byłam z niego dumna. Beth nie miała racji. W uczuciu, które nas łączyło, nie było niczego dziwnego ani nienaturalnego.

Zeszliśmy z trybun na boisko, gdzie zebrał się ogromny tłum. Wszyscy gratulowali Noahowi i każdy chciał uściśnąć mu dłoń. Stałam z boku razem z Beth, oglądając jak mój przyjaciel celebruje zwycięstwo. Minęło trochę czasu

nim ludzie zaczęli się rozchodzić, a gdy Noah mnie zauważył, przyjmował dalsze gratulacje, patrząc mi prosto w oczy.

W końcu podszedł i natychmiast objął mnie w pasie, unosząc wysoko. Zakręcił mną kilka razy, a ja piszczalam z radości.

– Wyobrażasz to sobie, Tweet?! Mistrzowie miejskiej ligi! – kipiał ze szczęścia.

– Gratulacje! Udało ci się! Jestem z ciebie dumna!

Zdjął swoją czapkę z daszkiem i włożył ją na moją głowę. Miałam gdzieś, że była przepecona. Tak bardzo się cieszyłam. Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

Nagle usłyszałam sugestywne chrząknięcie.

– Och, no tak. Noah, poznaj Beth. Niedawno się wprowadziła... do miasta.

Sama nie wiedziałam, dlaczego nie powiedziałam, że mieszka obok nas. Nie chciałam przecież trzymać tego w tajemnicy. Prędzej czy później sama by mu powiedziała. W tamtym momencie odkryłam swoją nadopiekuńczą stronę. Nie podobało mi się, jak Beth o nim mówiła. Pomyślałam, że musi znaleźć sobie własnego Noaha. Ten był już zajęty. Był mój.
